

Który spadł na Ziemię

AUTOR: SZYMON KAZIMIERCZAK

Bowie w Warszawie we wrocławskiej filii Akademii Sztuk Teatralnych to nie tylko efektowny spektakl dyplomowy, który pokazuje talenty młodej obsady, ale też całkiem błyskotliwa interpretacja dziwaczного utworu Doroty Masłowskiej.

■ Duch miejskiej legendy o ekscentrycznym piosenkarzu, który pół wieku temu rzekomo odbył incognito spacer ulicami Warszawy, ożył we Wrocławiu. Na dyplomowy spektakl studentów i studentek Akademii Sztuk Teatralnych patrzeć można tak właśnie: jak na beztrojskie bajdurzenie i plectio andronów, a nawet jak na monstrualną – z górą trzygodzinną – bzdurę. Wątki pasjonujące i zupełnie błahe splatają się w niej w coś – lub też zgola w nic. Poważny wątek biografii artysty, kryminał retro, nieostry kadr epoki, czy raczej bańka mydlana, postawiona na głowie fantazja, skrywająca jednak jakąś pociągającą tajemnicę? Wszystko jedno – od opowieści o Bowie w Warszawie uszu oderwać nie można, chce się w nią wierzyć i jako prawdę bezwstydnie podawać dalej.

A było to tak. W połowie lat siedemdziesiątych David Bowie wracał z pobytu w Moskwie, gdzie próbował odzyskać ostrość widzenia po zerwaniu z kokainowym nałogiem. Czasochłonna droga powrotna pociągami do Berlina, gdzie mieszkał, wiodła przez dworzec Warszawa Gdańska, międzynarodowy punkt tranzytowy ówczesnej stolicy. Artysta miał skorzystać z przedłużającego się przystanku i zapuścić się w dziwne, egzotyczne dość miasto, zawieszone między Wschodem a Zachodem, stęsknione zmian i zmęczone czekaniem, ale i podekscytowane efektownymi miejskimi inwestycjami. Tego dnia Bowie nie dotarł z pewnością do centrum, raczej nie zobaczył powstającej właśnie Trasy Łazienkowskiej czy Dworca

Centralnego – trasa jego spaceru musiała przebiegać raczej ulicami pobliskiego Żoliborza, prawdopodobnie wzdłuż ulicy Mickiewicza, do placu Komuny Paryskiej (czyli dzisiejszego placu Wilsona).

Fani powiadają, że odprysk tej krótkiej wizyty znajdujemy w utworze *Warszawa* z płyty *Low* z 1977, pierwszej z „berlińskiej trylogii” Bowiego, pełnej ambientowych aranżacji, owoc współpracy z Brianem Eno. Utwór, choć zagrany w syntezatorowej estetyce, ma u swoich fundamentów ludową melodię o tytule *Helokanie*, czyli pieśń młodej pastereczki odbijająca się echem między górami. Skąd artysta ją znał? Legenda głosi, że w jednym ze sklepów muzycznych na Żoliborzu nabył winyl z muzyką Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, na którym znajdował się ów niezwykle utwór. Jego hipnotyczna reinterpretacja pozostaje najmocniejszym dowodem na prawdziwość mitu o tajemniczej wizycie w Warszawie lat siedemdziesiątych. Ale nie odpowiada przecież na pytanie: jak ową rzeczywistość zobaczyło niezwykle oko Bowiego? W jakich barwach i kształtach przeżył je ten artysta o migotliwej tożsamości, kosmita, „który spadł na Ziemię”,

a może po prostu człowiek wymęczony wielogodzinną podróżą, może na kacu lub zjeżdżie. Nie dowiemy się – ale od czego mamy wyobraźnię.

Owo nieuchwytne zagadnienie poniekąd próbuje właśnie uchwycić *Bowie w Warszawie* Doroty Masłowskiej. Choć tekst ten nie powstał z pewnością, by zadowolić muzycznych nerdów. Tylko we wstępie odwołuje się bowiem do owej żoliborskiej legendy, traktując ją jako punkt wyjścia, swego rodzaju filtr nałożony na opowieść o zwykłych mieszkańcach Warszawy gierkowskiej epoki, których połączył niepokój: krążąca po mieście wieść o morderstwach młodych kobiet dokonywanych przez niejakiego Dusidamka z Mokotowa. Kosmiczne oko Bowiego ewidentnie krąży między bohaterami, ukazując ten osobliwy thriller w purnonsensowym wykrzywieniu. Czyniąc zapoznane obcym, a zwykłe – niecodziennym. Prapremiera Marcina Libera w warszawskim Studio z 2021, przygotowana we współpracy z samą autorką, dostała mieszane recenzje, z których przebijało lekkie rozczarowanie samym tekstem. Od Masłowskiej oczekiwano chyba nieco ambitniejszej konstrukcji

Młodzi aktorzy brną w „kosmiczną dziwność” Masłowskiej z kamienną powagą i żelazną konsekwencją – w tej pewności, na granicy dezynwoltury, tkwi siła wykreowanego przez nich świata.



fot. Rafał Skwarek / AST Wrocław

Bowie w Warszawie, reż. Jarosław Tumidajski, Akademia Sztuk Teatralnych we Wrocławiu (2024)

świata, nie zaś absurdałnego dziwadełka pełnego językowych błyskotek – tego typu sprawności nie musiała ona wszak już wówczas udowadniać.

Minęły z górką dwa lata, sztuka od prapremiery chwilę odleżała, aż we Wrocławiu swoim studentom na dyplom zaproponował ją reżyser Jarosław Tumidajski. Trzeba powiedzieć, korzystając z kosmologicznej nomenklatury, że gwiazdy połączyły się w tym projekcie w konstelacje o kształtach pięknych, choć zaskakujących. Okazało się, że *Bowie w Warszawie* jest naprawdę dobrym materiałem do studenckiej pracy. To, co często w spektaklach dyplomowych bywa drażniącym kompromisem – fragmentaryczność, nieskładność narracji, rozmaite niespójności wynikające z faktu, że każdy w obsadzie musi dostać swoje pięć minut i pokazać możliwie różnorodne umiejętności – jest po prostu żywiołem sztuki Masłowskiej. A we wrocławskiej realizacji afabularność i mnogość środków ekspresji staje się spójnym środkiem artystycznym. Co jednak ważniejsze, na scenie przy ulicy Braniborskiej powstał nie tylko efektowny spektakl dy-

plomowy, który pokazuje wszechstronne talenty młodej obsady, ale też całkiem błyskotliwa interpretacja dziwaczного utworu.

Scenografia Mirka Kaczmarka to powykrzywane rekvizytoryum gierkowskiej epoki z tapczanami, meblościankami, sprzętami codziennego użytku: niektóre meble przyłączone są do ścian, oderwane od swojej funkcji, bez sensu spiętrzone. Wszędobylskim styropianowym popiersiom Lenina domalowywane są atrybuty Bowiego: czerwone błyskawice. Wściekle pozostawiane ze sobą desenie obić mebli, sukienek czy koszul wywołują raczej zgrzyt zębów niż westchnienie nostalgii. „Jedno pomieszczenie, w którym skumulowano wiele pomieszczeń” – głoszą didaskalia i w przestrzeni spektaklu wskazówka ta została zmyślnie wyzyskana. W pierwszych scenach przy drewnianym biurku zasiada w piżamce plutonowy Krętek (Daniel Kaczmarczyk), pochłonięty rozpracowywaniem śledztwa Dusidamka – co znamienne – oddala się od swojej żony. Ustawiony centralnie stół stanie się za chwilę krawędzią mostu Poniatowskiego, z którego skakać chce zrozpaczona młoda Regina (Aleksan-

dra Kasperek), którą jako jedyną przytłacza tu niezdolność sztuczności międzyludzkich stosunków. Niebawem na tapczanie będzie przeżywała zaś homoerotyczną inicjację, podczas gdy jej matka (Dominika Zachoszcz) bawić będzie w salonie ekscentrycznych cokolwiek gości. Tymczasem sprzątaczką Nastka (Zofia Wardacka), zmagająca się z pijącym mężem, przeżywa objawienie, którego głównym motywem jest... przerośnięta pieczarka.

Jak widać niejasno plotą się relacje między postaciami, kto szuka tu przyczyn i skutków – odejście sfrustrowany. Ale aktorzy brną w ową „kosmiczną dziwność” Masłowskiej z kamienną powagą i żelazną konsekwencją – w tej pewności, na granicy dezynwoltury, tkwi siła wykreowanego przez nich świata. Magnetyzm tej kreacji poczuć można niemal od razu: gdy na scenie gruchnęło wyśpiewane przez zespół z ogromną mocą (i kompetencją) *Helokanie*, mogliśmy wyobrazić sobie, co w tej pieśni tak zafascynowało Bowiego. Zespół młodych aktorów i aktorek przede wszystkim jednak bezbłędnie czuje frazę Masłowskiej, widzi logikę w jej językowych stylizacjach – gdzie w nich czai się nieoczywisty dowcip czy równie nieoczywisty dramatyzm. Ze swadą dowozi linijki tekstu wystylizowane raz to na propagandowy język, gdzie indziej na literacką manierę groszowych kryminałów retro czy dawnej ulicznej gwary. Czuć też momentami naprawdę pyszną zabawę konwencjami aktorskimi: w pierwszej scenie można mieć poczucie, że oglądamy pastisz teatru sensacji „Kobra”, innym razem idzie to w zapożyczenia z konwencji telenowelowych, zaś Igor Paszczyk w scenie obiadowej daje naprawdę niezłą próbkę przegiętego, przedwojennego aktorstwa filmowego.

Bowie, który w prologu przepadł w ciemnościach Dworca Gdańskiego, w finale zostaje rozpoznany jako ów Dusidamka z Mokotowa, żegna nas zaś szlagierem *Let's Dance*, ze znacznie już jaśniejszej i przystępnej płyty z 1983. Z pewnym zdumieniem wybudzamy się z tego tańca, osobliwego snu o Warszawie, miejscu, w którym kumulują się przecież aspiracje i dążenia wielu młodych aktorów. Cieszy, że popatrzyli na nie bez nadęcia, oczami największego z outsiderów. ■

Akademia Sztuk Teatralnych we Wrocławiu
Bowie w Warszawie na podstawie sztuki
Doroty Masłowskiej
reżyseria Jarosław Tumidajski
premiera 12 stycznia 2024